

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

2-8 listopada październik 2004 r. NR 10 (19)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Drodzy – jesienną aurą doświadczani – Czytelnicy

Bardzo nas wzruszyło Wasze zaniepokojenie, gdy w swoim czasie (drugi wtorek miesiąca) ani nawet nieco później nie ukazał się kolejny numer „Koninianów”. Oczywiście bardzo przepraszamy za zwłokę, ale przypominamy, że jesteśmy w „PK” tylko sublokatorami i to takimi, którzy nie płacą czynszu. (sic!)

Natomiast telefony udowodniły, że mamy w Waszych domach swoje miejsce, że oczekujecie nas. To prawdziwy miód na nasze wysłużone serca. Ale już jest OK i zapraszamy do lektury nowego numeru „K”.

Janusz Gulczyński próbuje drogą nieco okreśną, ale chyba skuteczną, powiązać nieodżałowaną pamięci Czesława Miłosza z

Koninem. Czy próba udana, czytelniczy osądzą sami – ale ciekawa na pewno. Cieszymy się bardzo z wizyty na łamach Ani Draganowej. Przedstawiać nie musimy, a porusza jak zwykle problemy kultury. Włodek Kowalczykiewicz kończy swoje lingwistyczne rozważania – tekst bardzo Państwa uradował i rozbawił. Ks. H. Witczak, przypominamy rdzenny starokoninianin, tym razem zapoznasz nas ze swoim kościołem w Morzysławiu. Bardzo ciekawe. Lech Hejman przypomina postać Mikolaja Cabana, autora wspomnień z czasów pobytu w Szkole Podoficerskiej dla Małoletnich w Koninie. Nigdy na dużo wspomnień i przypomnień. Polecam również trochę nieśmiało nieco sowizdrzał-



A jesień naprawdę jest piękna

ski wywiad z Kazikiem Lipińskim. Wywiad ukazuje drogę urwisa do fotela biznesmena. Optymistyczne. Na zakończenie Leszek odpowiada na pytania czytelników oraz daje

garść wiadomości o wydarzeniach z roku 1952. Niestrudzona Mirka Dymitrow przekazuje do kolekcji kolejny rysunek.

Milej lektury – pozdrawiam
Stanisław Sroczyński

Miłosz czytał Urbanowską

Z Zofią Urbanowską, jej dworciem nad Wartą i uroczą baśnią dla dzieci „Gucio zaczarowany”, zwykło się łączyć Jarosława Iwaszkiewicza. On to zarówno w swoich książkowych wspomnieniach, jak i w prasowej publicystyce wielokrotnie pozytywnie wypowiadał się o „Guciu zaczarowanym”, jak również przywoływał w pamięci Konin z pierwszych lat po wojnie, kiedy przyjeżdżał tutaj parokrotnie na spotkania autorskie i do poznanych w czasie tych spotkań przyjaciół. O konińskich epizodach w życiu i twórczości Iwaszkiewicza pisano już trochę w miejscowej prasie na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Pamiętam, że sam też pochylałem się nad tym tematem, kreśląc onegdaj felietony do „PK”. Być może i obecnie, w niedługim czasie, powrócę do „Iwaszkiewicza w Koninie”, zwłaszcza że znalazłem nowe, nieprzedstawiane dotąd akcenty związane z tym tematem...

Tymczasem dzisiaj o Miłoszu, o tym, jak wspominał „Gucia zaczarowanego” zmarły niedawno poeta.

W 1989 r. wrocławskie Wydaw-

nictwo Dolnośląskie zdecydowało się wznowić, zdawać się mogło, że niemalże całkowicie już zapomnianą „powieść dla młodszych dzieci...” – „Gucio zaczarowany” – chyba najbardziej obok „Księżniczki” i „Róży bez kolców” znaną i lubianą przez kolejne pokolenia młodych czytelników książkę Zofii Urbanowskiej. Pomysł okazał się udany, posypały się znów pozytywne recenzje, a cały nakład książki sprzedano szybko, niemal „na pniu”. Wznowienie „Gucia” było bardzo okazale. Zaprezentowano powieść z 14 ilustracjami Ludwika Żelaźniewicza, i przede wszystkim – to co okazało się chwytliwe – z pozytywnymi wyimkami na temat tej uroczej książeczki z pism wybitnych jej czytelników – właśnie wzmiankowanego wyżej J. Iwaszkiewicza, Aleksandra Wata i przede wszystkim Czesława Miłosza. Miłosz zresztą napisał do tej edycji nieduży wstęp, który warto tutaj zaprezentować przynajmniej w części:

Czytałem tę książkę, kiedy byłem mały i tak mocno zachowałem ją w pamięci, że później już jako

człowiek dorosły, nieraz próbowałem sobie wyobrazić, jak to jest, jeżeli ktoś zostanie muchą. Właściwie dlaczego nie mielibyśmy to zwiększać się do zmniejszać, żeby oglądać świat w coraz to nowy sposób?

(...)
Może ciekawie jest być zmniejszonym, byle nie na stałe. Na przykład mucha musi bać się wszystkich większych od siebie istot. W Guciu zaczarowanym na szczęście wszystko kończy się dobrze i Gucio wraca do swej zwykłej postaci.
Cieszę się, że ta piękna książka napisana i wydana dawno, ponad sto lat temu, zostaje na nowo wydana.

Bardzo dobra to rekomendacja powieści Urbanowskiej. Dodatkowo posłużyłem się w tym miejscu jeszcze jednym cytatem z Miłosza. Otóż w 1965 r. poeta zainspirowany książką konińską powieściopisarki, a przynajmniej jej pomysłem i tytułem, stworzył obszerny, ośmio-częściowy poemat zatytułowany właśnie „Gucio zaczarowany”. Oto stosowny wyimek z tej poezji:

Gucio, niegrzeczny chłopczyk, został zamieniony w muchę.

*Myl się według obrządku much pod skalą cukru
I prostopadłe biegł po jaskiniach sera.*

Leciał przez okno w jarzący się ogród.

I tam nieposkromione promy liści

Wiozły kroplę napiętą od nadmiaru tęczy.

Mszyste parki z krynicami światła rosły w górach kory.

Sypał się cierpki pył z giętkich kolumn w środku cynobrowych kwiatów.

Myszę i żywię taką nadzieję, że biorąc pod uwagę przedstawione wyżej rekomendacje, warto będzie jeszcze raz zajrzeć do książki Urbanowskiej. Wyobrażam sobie, że dzieci zechcą zapoznać się z przegodami Gucia czytając opowiadanie samodzielnie, a jeśli jeszcze nie potrafią dobrze czytać, to z pomocą mam, babę itp.

Janusz Gulczyński

Gazeta w środowisku

W miesięczniku Koniniana z 17-23 sierpnia zapowiadano konferencję na temat roli lokalnej prasy w integracji społeczeństwa obywatelskiego. Organizatorami konferencji byli: Komisja Kultury i Środków Przekazu Senatu RP oraz Izba Wydawców Prasy.

Skorzystajmy z materiałów z konferencji, aby spojrzeć na nasze problemy z szerszej perspektywy.

Najpierw o skali zjawiska. W 1988 r. ukazywało się 55 pism lokalnych, co stanowiło 1,7 proc. gazet i czasopism w Polsce. W 1991 r. było już 1426 lokalnych gazet i periodyków, a przez kolejne dziesięciolecie ich liczba wahała się od 1600 do 2500, stanowiąc w 2000 roku aż 45,8 proc. ogółu tytułów w Polsce. Tak więc rola marginalna została zastąpiona znaczącą. Niewyśoki zaświadczył o tym wzrost nakładu pism lokalnych z 2,5 tys. w 1992 r. do 4,1 tys. w 2000 r. Nakład powyżej 10 tys egzemplarzy uzyskuje jedynie około 2 proc. tych pism. W 2000 r. łączny nakład lokalnych czaso-

pism wynosi 13 proc. nakładu wszystkich tytułów, choć w 1988 r. udział ten kształtował się na poziomie 3,6 proc.!

Po Górnym Śląsku i Mazowszu, Wielkopolska i Małopolska należą do regionów, w których prasa lokalna występuje liczniej niż gdzie indziej. W całym kraju wydawnictwa takie ukazują się w co drugim mieście i w co czwartej gminie.

Prasa, zbliziona do małych społeczeństw, ma wiele istotnych funkcji, takich jak budowanie ducha samopomocy i samozaradności, więzi społecznych, przynależności do regionu, kształtowania tożsamości. Dla wielu mieszkańców jest podstawowym źródłem pozyskiwania informacji. Wypełnia również liczne zadania kulturowe, edukacyjne, ekonomiczne, organizacyjne. Odgrywa znaczącą rolę w kontrolowaniu władzy, ale i w prezentowaniu jej sukcesów. – *Żywiłowy rozwój lokalnych mediów* – zauważył prezes IWP Wiesław Podkański – *sprawa, że stały się one jednym z filarów spo-*

łeczności obywatelskiego. Jednak na konferencji podkreślano, że promowanie skandali i zaniechanie pogłębianie publicystyki stało się zjawiskiem nagminnym. Za niekorzystne zjawiska uznano podporządkowanie prasy interesom wybranych grup czy osób: samorządów lokalnych, polityków lub biznesmenów.

Tymczasem potrzeby nie są male. – *Zadania i odpowiedzialność dziennikarza są tym bardziej zwiększone* – stwierdzano – *że proces decentralizacji państwa nie został przygotowany od strony prawnego-organizacyjnej, programowej, kadrowej. Zabrakło opracowań dotyczących kompetencji i środków. Brakuje wzorców rozwiązywania różnych problemów, nie ma modeli działania instytucji społecznych, nie zostały przeszkoleni organizatorzy nowych instytucji.*

Uczestnicy konferencji postulowali wprowadzenie takich rozwiązań prawnych, które w jednoznaczny sposób określą zasady wydawania biuletynów informacyjnych przez organa administracji i samorządy wszystkich szczebli.

Zobowiązano ministra kultury do ufundowania dorocznej nagrody dla wyróżniających się poziomem pism lokalnych.

Anna Dragan

do zakończenia z ubiegłego miesiąca

Słownictwo i zwyczaje starokoninian

Niskie progi starokoninian często przestępowali goście. Nasze mamy w porze obiadowej zadawały pytanie: – jakie ziemniaki będziecie jedli, cale czy „krychane”? U przybyszów następowała chwilowa konsternacja. Zupełnie niepotrzebnie. W języku powszeźnym „krychane” oznaczało „tłuczone”, a może prościej, purre. My, wiedzieliśmy. Dziwni ci goście.

W sobotni wieczór w domu sprzątanie robiono „rychtig” i na „glans”. Po wodę do pomp miejskich należało iść „w te dyrdy”. Młodzieńcy udający się na niedzielną mszę byli wyszykowani „na picuś, glancuś”.

Wobec „przejęciowych trudności w zaopatrzeniu” rodzice radzili: cukiery dostaniesz w sklepie „po Opasie” – wówczas, po produkt należało pójść do sklepu mieszczańskiego na rogu ulic Gwoździarskiej i 3 Maja. Warzywa kupowano u „Gilewskiego”, „Silnego”. Kwiaty u „Paczesnego”. Lekarstwa u „Roseny”. Gdy padło hasło: „Wieczorkowa” skupuje butelki – biegliśmy z „towarem” na przedmieście „garnarskie”. Dla podkreślenia odległości mówiono: Pani! Pani! to aż za „Heimatem” – taką nazwę nosiło osiedle mieszkaniowe pobudowane przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Dzisiaj, prawie centrum Konina.

Relację z niespodziewanego spotkania starokoninianie przedstawiali w następujący sposób: – Widzieliśmy się z kolegą koło „jatek” – biegli w topografii miasta domyślnie się, że do spotkania doszło w okolicach dziesiętej sali posiedzeń Rady Miejskiej. W domu na rogu ulic Słowackiego-Urbanowskiej, z mieszkania na pierwszym piętrze często dobiegały dźwięki fortepianu. Udający się na seans filmowy do kina „Górnik” (niegdys „Polonia”) z pewnością godną trafienia szóstki w totolotku fakt ten kwitowali słowami – to „u Sławinowej”. Bowiemy tak nazywała się nauczycielka gry na fortepianie.

Chłopcy szepciem proponowali randkę swoim dziewczynom: – Jutro spotkamy się o piątej przy „fotosach”. Dla wtajemniczonych było jasnym, że do spotkania dojdzie na placu Wolności. Tam, na ścianie jednej z kamienic wisiała gablotka z repertuarem kina „Górnik”.

Młodzieńcy lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych byli bardziej wrażliwi na zbytek „ciekawski” wzrok mieszkalców grodu. Dlatego, by „obalić” czytają: – wypić butelkę wina „petykiem pisanego” miejsce na dokonanie owej czynności wyznaczali w „kinowej”. To ustronne miejsce znajdowało się na tyłach kina „Górnik”.

Latem kapać się można było na „schodach” lub na „przystani”. Na „Warcie” wędkarze mieli swoje „oczka” – czytają miejsca wędkowania. Znajdujący się między innymi na pierwszej, drugiej lub trzeciej tamie. Nowicjusze stawiający pierwsze kroki w tym pięknym hobby musieli się nauczyć, które z „oczek” jest „przypisane” danemu wędkarzowi.

Zlokalizować miejsce zamieszkania poszczególnych obywateli było o wiele łatwiej. Niepotrzebna była

nazwa ulicy oraz numer domu. Wystarczyło powiedzieć, mieszkam: u „Essowej”, „Trenklera”, „Kaplana”, „Matuszkiewiczza”, „Blocha”, „Dławichowskiego”, „Kabaty” w „magistrackim” i rozmówca orientował się, w jakiej części Konina znajduje się dany dom. Nazwy poszczególnych części Konina brzmiały inaczej w mowie potocznej od nazw nadanych urzędowo. Na co dzień używano nazw takich, jak: „Waliszewo”, „Krykawką” lub „Krykowka”, „Utrata”, „Mankowiczów”, „Kapkaz”, „Piekielnica”, „Leśna”, „Kirhol”. Niektóre kwartały miasta miały również swoje określenia np. po „Włodarczyku” – miejscowi wiedzieli, że dotyczyło to rejonu ulic Słowackiego, Urbanowskiej, Westerplatte. Starsi mieszkańcy nie powiedzieli inaczej na ulic Westerplatte, jak Ogrodowa.

By zagrać w piłkę należało udać się na „Pocięjew” – tereny piłkarskich potyczek znajdowały się na zachód od ulicy Wojska Polskiego. Miejsce na ulicy wyznaczano również na przedmieście „błoniach”. W tym wypadku należało sprzecyzować wypowiedź. Gdy dotyczyło to mogło być między innymi Kopernika, Dąbrowskiego i obecna Bankowa, jak i błon przy ul. Grunwaldzkiej.

W starym Koninie, co prawda rzadko, ale też można było spotkać dzieci niezbyt przyklądające się do nauki. Opiekunowie przestrzegali: – „Kaziu” idzie na rentę, nie ucz się, a miejsce masz po nim pewne! Takim imieniem określano „Kazia nosiwode”. Ten bardzo sympatyczny pan, dostarczał wiadomości do mieszkań. Czy dzieci brały sobie przestrogi rodziców od serca? Nie wiem.

Znajomi rodziców dla podkreślenia, jak urosło ich dziecko, komentowali: – „No, to już teraz Biegasiewicz i Filipiak ciebie wypuszczą. Wymienieni panowie byli biletarami w kinie „Górnik”. W sposób perfekcyjny przestrzegali regulaminu obowiązującego w przybytku dziesiątej muzy. Na każdym afiszu widniał napis: „Dozwolone od lat” i tutaj w zależności od ilości „scen” wpisywano odpowiednie wiek.

Dla określenia osobników delikatnie mówiąc „innymi” poglądami na życie, starokoninianie, z wrodzonym dla siebie taktem, oraz by nie używać bardziej dosadnych określeń, mówili: – Ten to ma „kuku na muniu” lub ona to takie „fiu, bzdziu”.

Obywatelom w krótkich majteczkach wieczorem dzielił się wrażeniami mijającego dnia: – Byliśmy na karłowej”. To ustronne miejsce znajdowało się na tyłach kina „Górnik”.

Latem kapać się można było na „schodach” lub na „przystani”. Na „Warcie” wędkarze mieli swoje „oczka” – czytają miejsca wędkowania. Znajdujący się między innymi na pierwszej, drugiej lub trzeciej tamie. Nowicjusze stawiający pierwsze kroki w tym pięknym hobby musieli się nauczyć, które z „oczek” jest „przypisane” danemu wędkarzowi.

Zlokalizować miejsce zamieszkania poszczególnych obywateli było o wiele łatwiej. Niepotrzebna była

Z poważnym biznesmenem wywiad nie całkiem poważny

St. Sroczyński: Na rozmowę z Tobą czaiłem się prawie dwa miesiące, nie sądzisz, że pora już trochę wyhamować?

Kazimierz Lipiński: Nie mam na razie czasu na hamowanie, a w ogóle to gdzieś mi się zapodział hamulec, poza tym po co hamować, jak dobrze idzie interes, a energii jeszcze sporo zostało.

St. Sroczyński: W takim razie, co aktualnie robisz, co zamierzasz – jeżeli nie jest to oczywiście tajemnica biznesowa.

Kazimierz Lipiński: Robię wszystko to, co inni uważają, że jest do zrobienia niemożliwe.

St. Sroczyński: Skromnością, zresztą jak zwykle, specjalnie nie grzeszysz.

Kazimierz Lipiński: Poważniej rzecz biorąc, działamy faktycznie w całej Polsce. Budujemy z reguły obiekty użyteczności publicznej pod tzw. klucz. Są to banki, hotele, biurowce itp.

St. Sroczyński: Jesteś dość konsekwentny w promowaniu STAREGO POCZCIEWEGO KONINA, nawet siedzibę firmy przeniosłeś z Wieży Ciśnień do reżni miejskiej – jednocześnie chcę przypomnieć, że byłeś pierwszym sponsorem Towarzystwa Przyjaciół Konina. Ciekaw jestem, czy pamiętasz takie „drobiazgi”.

Kazimierz Lipiński: Oczywiście, że pamiętam. Chcę jednocześnie – jak Ty to nazywasz nieskromnie – dodać, że co roku przekazuję dość pieniędzy na różne cele.

St. Sroczyński: Konkretnie Kazik, konkretnie.

Kazimierz Lipiński: Kiedyś byłoby bardziej łatwiej, ale rozumiesz to zawodowe skrzywienie przepytawcy. A więc między innymi oczywiście byłem głównym sponsorem festiwalu dziecięcego.

A w ogóle pamiętam o dzieciach,

szczególnie tych specjalnej troski. Ostatnio sponsorowałem konkurs na koncepcję zagospodarowania bulwaru konińskiego (8 prac i praca dyplomowa).

St. Sroczyński: Wiem, że Warta i jej wykorzystanie jest dla Ciebie bardzo ważna, ale to już temat, który mogłbyś sam opracować i wydrukować w „Koninianach”.

Kazimierz Lipiński: Zgoda, dam mi trochę czasu, postaram się tę kwestię przybliżyć naszym mieszkańcom.

St. Sroczyński: Kazik, znamy się od czasów słynnych i legendarnych już zawodów w pokonywaniu Parku (od bramy do stadionu) w koronach drzew (byliśmy, było nie było młodszy o dobre 40 kg) W tej konkurencji byłem od Ciebie lepszy, ale długo nie mogłem Ci darować skoków z barierki mostu do rzeki, ja miałem pietra jak diabli i nigdy tego strachu nie zmogłem.

Kazimierz Lipiński: Zdradzę Ci, ja też miałem pietra, ale jak już wlałem na tę barierkę, jak zobaczyłem wasze wybaluszone z niedowierzania oczy, to wiedziałem, że odwrotu nie ma. A z wysokością oswajałem się poprzez łażenie po dachach, mój rekord to droga od Ratusza do placu Wolności, nie podam czasu, bo nie uwierzysz!

St. Sroczyński: Tak, to były trochę inne czasy, inne zabawy (o tym też pisałem w „Koninianach”) ważne, że przeżyliśmy.

Kazimierz Lipiński: Chyba najbardziej niebezpieczne były zawody w pokonywaniu Warty, skacząc po płynących krach lodowych na drugą stronę rzeki. Takie to wówczas były rozrywki dla sprawnych.

St. Sroczyński: Ani słowa więcej, łamiemy wszystkie reguły pedagogiczne. A czy pamiętasz, że nazywałeś Cię „człowiek orkiestra”? Zapewniam Cię jednak, że w tym „przezwiisku”

było więcej podziwu, zazdrości niż kpiny. Wzięło się to stąd, że czego nie tknąłeś, to wszystko musiało się udać – a więc przyszedł czas, abyś znowu się trochę pochwalil.

Kazimierz Lipiński: Lata siedemdziesiąte – Wojewódzki Dom Kultury: spróbujmy „bardzo skromnie” pierwszy w Polsce wyprawieniem kabaret w ciasnej sali w plener do amfiteatru (sam wieś jak to było wtedy z cenzurą) – imprezą tą były derby estradowe. Był Złoty Pierścienie w Kolobrzegu, Złoty Samowar w Zielonej Górze, był Big Band, Festiwal Dziecięcę, początek OKFA i wiele innych imprez.

St. Sroczyński: Zgoda, to była olbrzymia robota, ale pieniędzy z tego raczej nie było.

Kazimierz Lipiński: Dlatego w latach osiemdziesiątych poszedłem na tzw. „swoje”. Założyłem na początek Agencję... oczywiście artystyczną i reklamową – ARTSERVIS. Potem było projektowanie i wykonawstwo, architektura wnętrza i mebli. I tak dalej – posiadamy wszystkie możliwe certyfikaty, również i te potrzebne w Unii. Zostaliśmy również w roku 2002 Firmą Roku.

St. Sroczyński: Faktycznie jest tego sporo, ale z uwagi na „gabaryty” „Koninianów” musimy pomalutku kończyć. W każdym bądź razie koninianie serdecznie dziękują za pasję z jaką walczysz o Starówkę i miejsce rzeki w tym mieście. Czekamy na najbliższy w Polsce bulwar, a widząc tę jedynomyślność z Urzędem Miasta myślę, że Wam się uda. Jak to mówicie, przyszedł czas na dekory i niech tak będzie.

PS Żegnając się, Kazik mimochodem dodał, że ufunduje nagrodę również w tegorocznym konkursie poetyckim – piękne dzięki.

Stanisław Sroczyński

Ze wspomnień

Mikołaj Caban Małoletni w Koninie

Do Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich w Koninie trafiłem łatwo. Zakwaterowano mnie w dużej sali w koszarach oddalonych od głównych koszar o prawie kilometr. Zajmowała jej tylko jedna kompania, czyli mój najmłodszy rocznik. Pierwsze dni pobytu w szkole zajęło przygotowanie i porządkowanie sal sypialnych. Sienniki wypchane słomą musiały mieć kanty. Ścienienie łóżek zajęło również kilka dni żmudnego szkolenia, zanim sztuka została dostatecznie opanowana. Tak stopniowo uczono: mycia się, czyszczenia butów, ubierania się. Bo wszystkie czynności należało wykonywać nie tylko dobrze, ale i szybko. W wojsku liczy się każda sekunda. W szkole obowiązywała odpowiedzialność zbiorowa. Wystarczyło, że jeden z kolegów niedbale zaścielił łóżko lub przez zapomnienie niewłaściwie ułożył swoje rzeczy, a już po powrocie z ćwiczeń sala sypialna wyglądała jakby przez nią przeszedł tajfun.

Stopniowo przybawało coraz więcej zajęć. Otrzymałyśmy dwa komplety ubrania zimowego. Trzeba je było co tydzień razem z kocami bardzo dokładnie trzepać. Wreszcie wydano nam broń. Bronią chyba przejmowaliśmy się najbardziej. Ona to podkreślała naszą dorosłość i nasze na przyszłość zadania.

Dzień był podzielony na wiele różnych zajęć. Noc była najprzyjemniejszą częścią doby. Można było odspać znużenie, które nagromadziło się po trudach całego dnia. Jeśli jednak po apelu zjawił się na sali podoficer służbowy na inspekcję i dostrzegł jakiś nieporządek, traciliśmy co najmniej pół nocy.

Latem wracaliśmy z ćwiczeń zmordowani nieładzko. Pełny rynsztunek, czyli regulaminowe obciążenie, wynosiło trzydzieści kilogramów. W dniu upalnie najbardziej dokuczał wyładowany plecak. Podoficerom nadawano epitety. Szef kompanii otrzymał przezwisko „Krzywonos”, z racji nadmiernie garbatego i wydatnego nosa; opiekun zaś trzeciego plutonu – „Tromna”, bo kiedyś robiąc przegląd zasłanych łóżek powiedział, że wyglądają jak „tromny”. Między uczniami a tą grupą przełożonych trwała wrogość aż do ukończenia szkoły.

W niedzielę po południu był czas do własnej dyspozycji. Można było pójść do miasta lub w świetlicy zabawić się grą w szachy czy warcaby. Chętni do wyjścia podlegali przeglądowi. Najpierw sprawdzano, czy w wykazie nie figuruje dwójka. Potem kazano się rozbiierać, dokładnie oglądano bieleznię, nogi, poobcinane paznokcie. Po takich dokładnych oględzinach na spacer pozostawało już niewiele czasu. Wielu więc rezygnowało i wracało z powrotem do sal. Było inne, nieoficjalne wyjście z koszar – przez mur, ale korzystało się z niego w wyjątkowych wypadkach. Łączyło się ono z poważnymi kłopotami dla kolegów. Podczas zbiórki musiał wtedy stawać osobnik wypożyczony z innego plutonu. Czasem się udawało, czasem nie.

Mijały dni, tygodnie i miesiące. Powoli z rozbrykanych wyrostków stawaliśmy się żołnierzami. W ostatnim roku często urządzano nam alarmy w różnych porach nocy. Chodziło o to, byśmy nabrali wprawy w szyb-

kim ubieraniu się i ekwipowaniu. Musieliśmy zdać egzamin z gotowości bojowej. Kiedy po raz pierwszy ogłoszono alarm, w sypialni w jednej chwili zrobiło się piekło. Wszyscy rzucili się do ubrań. Jeden drugiemu przeszkadzał, wpadali na siebie, pocieli się i sapali przy rotowaniu koców. Potem zrobił się tłok przy stojakach z karabinami. Po dziesięciu minutach od chwili ogłoszenia alarmu znaleźliśmy się na placu. Stałem spocony i z zadowoleniem myślałem, że kompania nieźle się uwinęła. Tymczasem dowódca ocenił naszą sprawność inaczej. Kompania powinna stanąć na placu w ciągu czterech minut. Podczas przeglądu prawie każdemu brakowało jakiejś rzeczy. Tak zaczęła się nauka szybkiego ubierania. Alarmy powtarzano przez następne trzy miesiące prawie co noc.

Zbliżało się lato i wyjazd na urlop. Przepisywał strój, jaki nas obowiązywał, składał się z sukienego munduru, a na cieplejsze dni z bluzy uszytej z cienkiego sukna. Do tego pas, trzewiki chromowe i rogatywka. Wybieranie się na urlop było specjalnym wydarzeniem w naszym życiu. Zmieniałismsy niektóre szczegóły w naszym umundurowaniu. Zmiany mogły nastąpić dopiero w pociągu. Wyglądało to tak: rogatywka wędrowała do walizki, a na miejsce wyciągało się inną, odpowiednio prze-

fasowaną. Jej tylny róg musiał przypominać dziób drapieżnego ptaka. Zmieniało się orzelka i guziki z oksydowanych na świecące. Puste naramienniki, które zgodnie z przepisem nie miały nic poza stopniem, obszywała się złoto-granatowym sznurkiem. W środku przypinało się znaczek SPZ zamiast 10 cm – prawie dookoła rękawa. Szczególne tortury przechodziły spodnie – musiały mieć jak największą szerokość. Rozciągane siłą, często nie wytrzymały, pękały w szwach. Jedynie rękawiczki i trzewiki pozostawały nie zmienione. Po prostu nie wymagały ulepszeń. Nasze dowódcy przeciwstawiali się tym wariacjom jak tylko mogli. Na stację prowadzili nas w szyku zwartym. Do odjazdu pociągu nie wolno się było ruszać z szeregu, jednak zawsze komuś

szkoły nie wypuszczał nas spod czulej opieki.

Po przysiędze zostaliśmy instruktorami młodszych roczników. Jednocześnie uczono nas dowodzenia drużyną i plutonem. Na ćwiczeniach i manewrach dowodziliśmy już sami i na ogół wypadalo to nie najgorzej. Pożegnanie ze szkołą było bardzo uroczyste. Wystąpiliśmy w pełnej gali i w pełnym rynsztunku. Otrzymałem razem z dziewięciu kolegami przydział do 79 pp w Słonimie, aby tam kontynuować karierę wojskową.

Plk Mikołaj Caban, autor wspomnień „Powrót z rzeki Styks”, z których pochodzą powyższe fragmenty, urodził się w 1915 roku we wsi Tróścianki na Lubelszczyźnie. Po kampanii wrześniowej dostał się



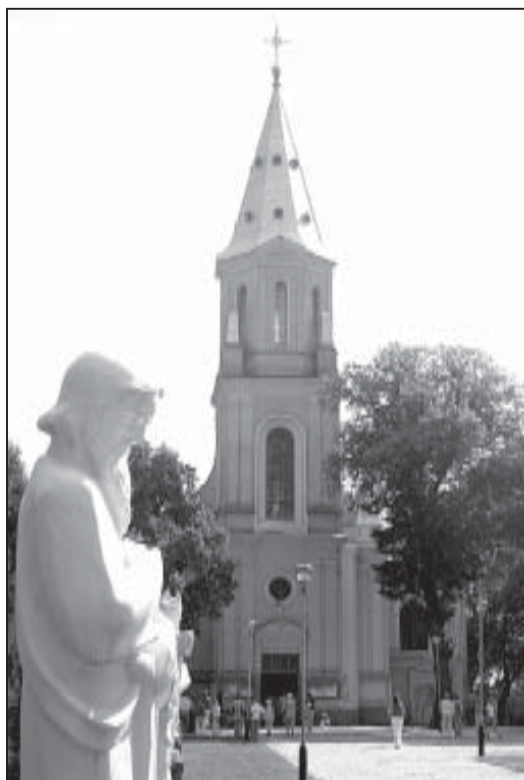
zdj. - archiwum

udawało się „zmieniać skórę”.

W trzecim roku pobytu w szkole prowadziliśmy ożywione życie towarzyskie. Mieliśmy już własny teatrzyk i organizowaliśmy zabawy. Miało to tę dobrą stronę, że przyciągało do nas mieszkańców, a szczególnie mieszkanki Konina. Początkowo w towarzystwie dziewcząt czuliśmy się nieswojo, z czasem jednak nabralismsy śmiałości i nieźle graliśmy rolę gospodarzy. Nasze dzieciństwo minęło jednak szybko. Jedynie ksiądz kapelan do końca

do niewoli. Za sabotowanie pracy otrzymał wyrok śmierci, ale uratowała go młoda Niemka. Na Lubelszczyźnie włączył się do walki z Niemcami w Batalionach Chłopskich. Aresztowany w 1942 roku przeszedł gehennę jako więzień na Zamku Lubelskim i Majdanku. Był jednym z nielicznych, który uciekł z obozu i dalej walczył w szeregach BCH. Po wojnie służył w wojsku i mieszkał w Warszawie.

Fragmenty wybrał i opracował L.H.



zdj. - P. Hołman

O kościele i parafii morzysławskiej słów kilka

Ks. Józef Kalasanty Ślósarski w artykule zamieszczonym 4 listopada 1880 roku w „Przeglądzie Katolickim” napisał o swoich parafianach: „Słusznie należy się pochwała parafianom tutejszym, a głównie za dokonanie wieży od blisko 100 lat zaczętej. Długie wieki kościoła w Morzysławiu przetrwa przekazując potomnym miłą pamięć wiernych szlachetnych serc i imiona dzisiejszych parafian, tak chętnych w niesieniu ofiar na dokonanie wieży, odnowienie i upiększenie całego kościoła”.

Pretekstem do przypomnienia tych słów jest 90. rocznica konsekracji kościoła św. Wojciecha w Koninie-Morzysławiu. Najstarsze zachowane wiadomości o uposażeniu parafii pochodzą z lat 1419 i 1436. Starsza z nich powołuje się na „dawną obserwację”, sugerując powstanie parafii już wcześniej, czyli w XIV w. Kościół zbudowano zapewne równocześnie, bo musiała być świątynia, przy której erygowano parafię. Istnienie kościoła drewnianego św. Wojciecha w Morzysławiu potwierdza w 1521 r. „Liber beneficiorum”, księga archidiecezji gnie-

nieńskiej w opracowaniu abpa Jana Łaskiego. Nie da się powiedzieć, ile razy w ciągu wieków kościół był remontowany lub po zniszczeniu jednego stawiany od nowa. Faktem jest, że pierwszą murowaną świątynią w 1785 roku wystawił własnym nakładem ówczesny proboszcz ks. Andrzej Liszkowski (informacja znajdowała się w dawnym prezbiterium). Fundator zamierzał zwieńczyć kościół wieżą, jednak wybudował ją tylko do wysokości dachu. Zmarł w 1800 r. i został pochowany w podziemiach kościoła, co potwierdzono w 1910 r. podczas remontu kościoła. Ciało jego w całości spoczywało w podziemiach i tam je pozostawiono.

Kolejny budowniczy, to chwalebny wyżej swoich parafian ks. J. K. Ślósarski, który postawił wg planu budowniczego powiatu konińskiego Chorążego wieżę w 1879 r. Jego następcą ks. Stanisław Chmielewski dokonał powiększenia świątyni. Prace wg projektu kolejnego budowniczego powiatu Zacherta rozpoczęto w 1904 roku i ukończono w 1912 r. Wewnątrz świątyni wystawiono cztery ołtarze duże i cztery boczne, ambone, stalle i piętnastogłosowe

organy. Wnętrze projektował Przewalski, a prace wykończeniowe trwały jeszcze po konsekracji. Uporządkowano także otoczenie, stawiając mur z bramą i furtkami. Ogrodzony został też cementarz, na którym wystawiono kapliczkę św. Jana i krzyż żelazny na kamiennym podmurowaniu.

Uroczystości konsekracyjne połączone były z wizytacją parafii przez ordynariusza diecezji kujawsko-kaliskiej bpa Stanisława Zdzitowieckiego. Pasterz przybył do Morzysławia 13 maja 1914 roku... o godzinie piątej po południu. Został uroczystie przyjęty przez miejscowego proboszcza i okoliczne duchowieństwo, obywatelstwo i lud. Po powitaniu odbył się uroczysty ingres. Sama konsekracja, czyli akt prawny i liturgiczny, na mocy którego biskup przeznaczył świątynię do sprawowania kultu Bożego, odbyła się dnia następnego, 14 maja 1914 r. Biskup odprawił sumę pontyfikalną. Drugim obok św. Wojciecha patronem kościoła w Morzysławiu jest św. Roch (16 VIII) ze względu na obraz z 1678 r., który tu otaczany jest czcią. Ks. Henryk Witeczak

Rok 1952

W tym czasie miasto nie było skanalizowane i zwodociagowane. Mieszkańcy wodę czerpali z ulicznych studni znajdujących się w kilku punktach: przy placu Wolności, placu Stalina (Zamkowy), przy kościele ewangelickim, przy Armii Czerwonej na wysokości OSP. Ponadto nieczynne, bo ze-

psute studnie znajdowały się przy ul. Wodnej, Kolskiej i Żwirki i Wigury. Zużyta woda wylewana do rynsztoków i na podwórza.

W połowie roku oddano do użytku ulicę ZWM, zbudowaną częściowo na błoniach i dawnym wysypisku śmieci, a z okazji obchodzonego wtedy święta

narodowego, 22 Lipca, miasto otrzymało nowy betonowy most drogowy na Warcie (wtedy była to jedna nitka).

W sierpniu na łamach „Głosu Wielkopolskiego” ukazał się artykuł o Koninie autorstwa „Wiesława”, krytycznie odnoszący się do fatalnego stanu domów, ulic, złej komunikacji pomiędzy starym Koninem a dworcem PKP, niskiego standardu miejskiego hotelu, baru mlecznego i gospody.

W dniu Barbórki dyrekcja kopalni uczciła święto górnicze, rozdając przodownikom pracy po ćwiartce wódki i kawalku kiełbasy. Podczas akademii nie wykorzystano przygotowanego przez

dzieci z zespołu Domu Harcerza programu artystycznego, co krytycznie oceniono na łamach prasy.

W sali gimnazjum odbyło się spotkanie młodzieży konińskich szkół średnich i aktywów robotniczego z posłem, zarazem ministrem Dąb-Kociolem. W części artystycznej, przygotowanej przez młodzież, aktyw partyjno-robotniczy nie uczestniczył, o czym z goryczą napisali dziennikarze.

7 i 14 grudnia zakłady i miejski aktyw partyjno-robotniczy wyruszył do podkonińskich wsi, aby przekonywać chłopów do realizacji obowiązkowych dostaw zboża i mięsa.

18 grudnia Koło PTTK w Koninie zorganizowało spotkanie członków, na którym prezes Zygmunt Pęcherski wygłosił referat „Konin w planie 6-letnim”, ponadto poinformował, że Koło PTTK zamierza w 1953 roku zorganizować 14 wycieczek masowych oraz przeprowadzić 26 spotkań dyskusyjnych na aktualne tematy polityczne.

Zespoły muzyczne i dramatyczne z Domu Harcerza przygotowały program artystyczny, z którym zamierzały wystąpić z okazji choinki noworocznej i odwiedzin dzieci przez „Dziadka Mroza”.

Materiał wybrał i opr. Lech Hejman

Ze starego albumu Włodzimierza Kowalczykiewicza



CZYTELNIK PYTA – redakcja odpowiada

Jeden z uważnych Czytelników „Koninianów” zadał redakcji pytanie, co znaczy użyty w tekście „Z korespondencji Zofii Urbanowskiej” w nr. 8 (17) wyraz wenspel. Ponieważ we wspomnianym tekście autorka używa także innych wyrazów niestosowanych dzisiaj na określenie miar, wyjaśniamy co wtedy, w połowie XIX wieku, one wyrażały.

Wspomniany wenspel właściwie wenspel był jednostką objętości dla towarów sypkich (zboża, kasze, nasiona strączkowe), stosowaną w Prusach w latach 1817-1872 i liczył w dzisiejszej wartości 1319 litrów.

Dla towarów sypkich używana była też miara o nazwie korzec, stosowana od wczesnego średniowiecza do drugiej połowy XIX w. Korzec dzielił się na 4 ćwiertnie, albo na 2

korczyki (szeffe, wiertle) lub 32 garnce. W okresie zaborów w Królestwie Polskim w latach 1819-50 korzec nowopolski równał się 128 litrom, a 30 korcy (3618 l) stanowiło laszt, na który składały się zwykle trzy wenspela. Laszt był najczęściej stosowaną miarą dla załadunku barek przewożących zboża od konińskich producentów.

Dla płynów używano jednostki o nazwie garniec, na którą składały się 4 kwarty, tj. ok. 3,7689 litra (kwarta była zbliżona do litra i wynosiła 0,9422 l).

Ówczesny **cetnar** (nie centnar), jednostka masy, to obecnie 64,84 kg. Na cetnar wchodziło 5 kamieni, a na kamień – 32 funty, tj. obecnie 12,967 kg.

Opr. wg „Leksykonu jednostki miar” - L.H.



Konin, Kościół Paraf. rym. Mirosława Dłubnow